,,Pierwszy Kontakt" — Cedrik

Gdzieś w głębinach kosmosu istnieje pewien niepozorny układzik słoneczny oddalony od wszelkich galaktycznych tras komunikacyjnych na tyle daleko, że nikt nigdy o nim nie słyszał, ani się nim nie zainteresował (co prawdopodobnie wiąże się z podanym wcześniej brakiem informacji).
Na trzeciej planecie od słońca istnieje życie. I nie jest to niepozorne życie kolonii bakterii, które można znaleźć w całym kosmosie. Ba, nie jest to nawet życie bezrozumnych zwierząt! Na trzeciej planecie, o której nikt, poza ich mieszkańcami nie słyszał, istnieje rozwijająca się szybko cywilizacja dziwnych, fascynujących istot, które są szalenie przekonane o tym, że mogą być jedyni w całym wszechświecie.
I żyły by sobie te istoty w błogiej nieświadomości, nie niepokojone przez nikogo i całkowicie bezpieczne, gdyby nie jeden, bardzo niefortunny zbieg okoliczności, który miał być wydarzeniem tygodnia na kanale NowaGalaktyka TV nadawanym we wszystkich cywilizowanych światach w Drodze Mlecznej.
No, może poza jednym...

***

Kiedy pilot Mike Richardson był młody nikt nie powiedziałby o nim, że jest szaleńczy, niezdyscyplinowany, czy porywczy. Nic z tych rzeczy. Jako zaledwie dwudziesto paroletni młodzian był zwykle poważny, opanowany i powściągliwy, a uśmiechał się tylko w towarzystwie pięknych kobiet. Kiedy się zestarzał i dotarł do czterdziestki nawet i to przepadło, a on, ciesząc się sławą najbardziej opanowanego i jednocześnie skutecznego asa lotnictwa był jednocześnie najsamotniejszym człowiekiem na Ziemi.
Raz, że nie miał ani żony, ani dzieci, a dwa, że większość swego życia przesiedział za sterami myśliwca, gdzieś, w górnych warstwach atmosfery. A tam niestety nie było zbyt tłoczno i za towarzystwo miał tylko swój samolot. Nawet chmury zostawały gdzieś na dole. W samotności mogli go przebić jedynie astronauci żyjący samotnie na stacji kosmicznej. Ale oni – z racji, jeśli można tak powiedzieć, bytu – nie mogli się zaliczać do grona najsamotniejszych ludzi na ziemi, co, paradoksalnie, jeszcze bardziej osamotniało Mike'a. Co dziwne, nigdy mu ta samotność nie przeszkadzała.
Koledzy mówili na niego ,,zimny" Mike. Nie obchodziło go to. Był zimny. Nie uśmiechał się, nie żartował i zawsze mówił prawdę prosto w oczy. Poważny, samotny i wyniosły. Jego domem było niebo i myśliwiec. Niekiedy wyobrażał sobie, że umrze za jego sterami. Jakże inaczej mógłby zginąć? Chciał umrzeć tak, jak żył. Bez zbędnych fajerwerków i płaczu. Normalną, zwykłą jak na jego zawód śmiercią. I najważniejsze, by nikt o nim nie pamiętał.
Los spełnił jego wolę. Niestety, losy bywają przewrotne, więc i w tym przypadku stało się coś, czego nie było w planach.
O Mike'u Rochardsonie dowiedział się cały świat i pamiętał o nim... bardzo długo. Można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że do końca świata, choć nie jest to całkiem prawdą.
Cóż więc takiego się stało, że zwykły pilot zabłysnął w mediach niczym gwiazda? To on jako pierwszy nawiązał kontakt z istotami pozaziemskimi.
I stał się bohaterem ludzkości. Przez chwilę.

***

To miał być rutynowy lot. Start na lotniskowcu ,,Marianna", przelot nad środkową Europą i powrót w jednym kawałku. Jak to mawiał kapitan Price: ,,Trzeba zaglądnąć, czy Polacy nadal mają burdel, czy też luksusową agencje towarzyską". Chodziło oczywiście o wrzawę wywołaną brakiem ,,Tarczy Antyrakietowej". Cały świat śmiał się z tego małego kraiku, że dał się wpuścić w maliny. Kapitan Price

wtórował światu przez ostatnie dwa tygodnie co wieczór, trzymając w garści szklankę Whisky. Mike zaś w głębi duszy im współczuł. Biedni naiwniacy.
Wystartował o godzinie 4.00 rano, wedle zegarka zakupionego w Waszyngtonie. Pogoda była wspaniała. Słońce świeciło, chmur było mało, a temperatura powietrza na morzu nie przekraczała czternastu stopni Celsjusza. Wiało.
Taką pogodę Mike lubił najbardziej. Zimno, a silny wiatr targa włosami i połami skórzanej kurty. Ten sam wiatr zapewnia idealną siłę nośną podczas startu jego samolotu. Siadając za starami swojego F-22 Rochardson uśmiechnął się lekko. To będzie dobry lot.
Parę godzin później był już nad terytorium Europy. W dole powoli przesuwał się krajobraz wschodnich Niemiec zastąpiony po kilkunastu minutach przez pola uprawne w Polsce. Nie bał się wykrycia. F-22 był niewidzialny dla radarów, a lecąc na wysokości blisko 20 tysięcy metrów nie był możliwy do zobaczenia z ziemi.
Słońce świeciło ostro, a niebo było ciemnobłękitne. Panowała totalna cisza. Mike odprężył się i rozparł wygodnie w fotelu. Jeszcze jakieś pół godzinki i zawraca. Życie jest piękne.
I w tym momencie wszystko się spieprzyło.
Nagle kabinę wypełniło wycie alarmu zbliżeniowego, a zaraz później tuż nad nim pojawił się ciemny, talerzowaty kształt. Mike nigdy nie wierzył w UFO. I nie zamierzał uwierzyć. Był za to cichym zwolennikiem teorii, że wszelkie ,,latające talerze" są eksperymentalnymi samolotami rządu. Teraz, widząc jeden z nich na własne oczy machinalnie, nawet nie myśląc rozpoczął przewidzianą na podobne sytuacje procedurę.
Wyminął pojazd i włączył radio.
- Zidentyfikuj się! – rzucił.
Odpowiedziała mu cisza.
- Zidentyfikuj się! – powtórzył. – W przeciwnym razie będę zmuszony ostrzelać pojazd!
Odczekał pół minuty, po czym odpalił rakietę. Wybuchła koło kadłuba talerzowatego pojazdu.
Dopiero wtedy z głośników dobiegł nienaturalnie wysoki wizg. I nie wróżył on nic dobrego.

***

Xiri Sopatul miał dwadzieścia tysięcy lat i pochodził z Lampierii, planety położonej osiemset tysięcy lat świetlnych od Ziemi. Jako lampierczyk wchodził właśnie w burzliwy okres dojrzewania, co wiązało się oczywiście z kobietami. W jego przypadku była to powabna Cyria Zames z kobiecej szkoły klasztornej w jego mieście. Przez ponad trzysta lat spotykali się potajemnie na błoniach, za starym młynem. W końcu, jak przystało na prawie dorosłego, bogatego lampierczyka postanowił umówić się z nią na randkę gdzieś dalej... najlepiej w innym układzie słonecznym. I w dodatku możliwie daleko od cywilizowanego świata.
Słyszał kiedyś o takim miejscu. Zawędrował tam ponoć jeden menel z miasta, ale szybko uciekł, opowiadając dyrdymały o białkowych formach życia. Białkowe formy! Dobre sobie, przecież wiadomo, że życie może występować tylko w jednej formie – krzemowej. Tak było, jest i będzie.
Ale planeta była ponoć bardzo ładna. Słońce ciepłe na tyle, by można by było się na nim pogrzać i pełno doskonałych wulkanów na romantyczną kąpiel... Korzystając z weekendu wybrali się więc na piknik.
Xiri nie mógł przypuszczać, że ktoś już te planetę zaklepał.

***

Silnik cicho buczał pod maską talerza. Xiri siedział niedbale trzymając kierownice w jednej ręce, drugą błądząc po wspaniałym ciele Cyrii. Było na co popatrzeć. Wspaniała, mięciutka szyja, smukła kibić, i te mocne, granitowe nogi! I jej oczy, jej piękne, szare oczy patrzące się na niego z miłością. Tej nocy będzie

jego. Był tego pewien. Patrząc jej w oczy pochylił się, by złożyć na jej ustach iście ognisty pocałunek. Specjalnie przytrzymał w ustach porcyjkę wrzącej lawy.
I właśnie w tej chwili czujniki zbliżeniowe zawyły, a z głośników dotarł do niego jakiś bełkot. Niechętnie oderwał wzrok od twarzy Cyrii i skupił go na ekranie. Pod nim leciał jakiś śmieszny pojazd.
- Niech to skała połknie! – zaklął. – ten tu czego?
- Może też na piknik? – podsunęła Cyria.
- Jeśli tak, to go wygonie. Mój ojciec jest prezydentem lampierii!
Cyria pochyliła się i polizała go w ucho.
- Zrób to, skarbie, niech nam nie przeszkadza...
W tym momencie statkiem zatrzęsło. Czujniki pokazały, że mały stateczek odpalił jakiś pocisk. To wystarczyło, by Xiri rozpalił się do czerwoności. Dosłownie.
Włączył nadajnik.
- Słuchaj debilu! – zaczął. – Masz się stąd natychmiast wynieść! Leć na inną planetę!
Z głośników ponownie dobiegł go bełkot.
- Cooo? – wrzasnął Xiri. – Nie słyszę co mówisz! Masz odlecieć! Jestem Xiri Sopatul! Mogę nakazać ci...
Statkiem zatrzęsło. Osłony włączyły się automatycznie. Xiri plunął lawą na deskę rozdzielczą. Zagotował się. Zdecydowanym ruchem wcisnął mały, czerwony przycisk pod ekranem.
Mike Richardson umarł tak, jak chciał. Za sterami myśliwca. Przedtem jednak zdołał nadać meldunek do bazy. Jego śmierci towarzyszył spektakularny, jądrowy wybuch w atmosferze a niedługi czas potem świat dowiedział się kim był, co robił, a nawet kiedy się urodził.

***

Niecałe dwa lata później, na błoniach w Krakowie zgromadził się wielotysięczny tłum, a w powietrzu aż furczało od licznych helikopterów obwieszonych kamerami. Oczy całego świata zwróciły się ku południu Polski, gdzie miało się odbyć pierwsze oficjalne spotkanie obcego z człowiekiem. Wszyscy znali doskonale historię pierwszego kontaktu. Mike Richardson miał pomnik w każdym mieście, a niektóre szkoły i ulice nazwano jego imieniem. Jakieś dwa tygodnie po kontakcie w przestrzeni kosmicznej pojawił się mały, bezzałogowy statek niosący pozdrowienia od całej galaktyki i oficjalne przeprosiny Xyriosa Sopatula zapewniającego, że jego syn poniósł już karę za swój uczynek.
I nie kto inny, jak sam Xyrios został – z uwagi na jego związek z przykrymi wydarzeniami -wysłany przez Rząd Galaktyczny do powitania nowych towarzyszy w rozumie i oczywiście zaproponowania im członkostwa w Unii Galaktycznej. Xyrios uparł się, by miejscem spotkania było właśnie to, nad którym doszło do „wypadku", jak incydent został szybko nazwany przez polityków.
Na tą okazję głowy wszystkich państw przybyły do Krakowa, a amerykanie szybko zapewnili Polsce nie tylko tarczę antyrakietową, ale i całą flotę przeróżnych myśliwców. W ramach sojuszu, rzecz jasna. Rosjanie zaś postanowili wyjątkowo nie protestować.

***

Wszystko było gotowe. Orkiestra zajęła miejsca, politycy ustawili się grzecznie w rządku, a tłum zalegający Kraków w milczeniu wpatrywał się w niebo.
Xyrios miał zjawić się równo o szesnastej. Była piętnasta pięćdziesiąt dziewięć. Wszystkie źródła informowały, że przestrzeń wokół Ziemi jest pusta. Czyżby delegat Unii miał się spóźnić?
Ludzie w milczeniu odliczali ostatnie sekundy. Pięć... cztery...trzy...dwa...
Chmury się otworzyły, a powietrze zawirowało. Zerwał się wiatr. Przez chwilę wszystkich oślepił blask.
..jeden.

Na błoniach spoczywał wielki, ciemny, latający talerz. Wszyscy wpatrywali się w niego w napięciu. Orkiestra, która miała grać stała w bezruchu jakby wszyscy byli posągami. Do czasu, aż ze spodka wysunął się trap.
Dyrygent nagle przypomniał sobie gdzie jest i szybko przywrócił swoich podwładnych do porządku. W drgającym od napięcia powietrzu popłynęła łagodna, piękna i wzruszająca muzyka. Jakaś kobieta wyszła na podwyższenie i zaczęła śpiewać „Ave Maria" .
Trap wysunął się do końca. W spodku otworzyły się drzwi. Wszyscy, oprócz orkiestry i śpiewaczki, wstrzymali oddech.
U szczytu trapu pojawił się on. Xyrios. Wyglądał... normalnie. Miał dwie ręce i dwie nogi, oczy, nos i usta. Nosił ubranie, jakąś dziwną, lekko błyszczącą czarną szatę. Od ludzi różniło go tylko to, że nie miał włosów, jego skóra była szara, a wzrostu na oko miał około trzech metrów.
Za nim, po lewej i po drugiej stronie kroczyli dwaj pomagierzy niosąc walizki i paczki. Xyrios stanął u dołu trapu, naprzeciw gromady podekscytowanych polityków. Pierwszy krok na nowo odkryta planecie, po myślał i wyciągnął nogę w przód.
Stanął na trawie i otworzył usta, by wygłosić historyczne słowa jedności wszystkich ras we wszechświecie. I w tym momencie dotarła do niego muzyka.
- Co to za piekielny jazgot? – zapytał.
Zanim zdążył go powstrzymać wbudowany w ubranie translator przetłumaczył wszystkim jego słowa. Zaszumiało. Jeden z polityków spojrzał znacząco na bladego dyrygenta. Ten jednym ruchem uciął melodię i, trzymając się za serce, opuścił błonia. Tego samego dnia wieczorem miał mały wypadek samochodowy.
Tymczasem Xyrios próbując nie wybuchnąć lawą uśmiechnął się szeroko.
- To taki żart, wiecie... – usiłował wytłumaczyć, lecz zanim zdołał dokończyć podleciała do niego para dzieci wręczając mu bukiet kwiatów.
Przejechał po nich palcami. Były organiczne! Doprawdy, ci Ziemianie musieli mieć bardzo zaawansowaną technologię! Uśmiechnął się jeszcze szerzej. W Unii spodziewano się, że to jakaś zacofana cywilizacja, a teraz, gdy powróci i opowie jakie cuda widział, to na pewno dostanie awans. Może nawet na prezydenta całego układu?
Pocieszony tą myślą ujął dłoń najbliższego polityka. Zaczęło się polityczne spotkanie na szczycie. Tymczasem świat zaczął świętować w swój własny, wyjątkowy sposób.

***

Kolejny fajerwerk rozjaśnił nocne niebo. Xyrios stał na wawelskim placu dokładnie, jak mu pospiesznie wyjaśniono, nad jamą dziwnego stwora imieniem „Smok".
- Piękne, piękne – powiedział na głos. Równocześnie rozglądał się dookoła. Tutejsza architektura była niespotykana. Z jakiego oni budulca korzystają? Jakaż niezwykła technologia mogła stworzyć cos takiego?
Wiedział już, że dziwni mieszkańcy Ziemi umieją doskonale tworzyć rzeczy organiczne. Nawet nie wiedzieli, co posiadali. Jakaż to moc musi być ukryta na planecie Ziemi, że ej mieszkańcy dają sobie łatwo radę z czymś, co pozostaje w sferze marzeń reszty mieszkańców galaktyki? Pytał się o to kilka razy, lecz politycy uśmiechali się tylko i kierowali rozmowę na inne tory. Podejrzewał, że tego sekretu tak łatwo mu nie wyjawią.
Postanowił zaczekać. Był cierpliwy. Zostanie tutaj parę tysięcy lat i może wtedy czegoś się dowie?
Póki co zaczynał już być zmęczony. Od blisko dziewięciu godzin przebywał z tymi samymi ludźmi, którzy strasznie szybko mówili i ciągle czegoś chcieli. Wręczyli mu też szklankę z jakimś płynem zwanym „szampan". Spróbował i o mało nie wydalił węgla. Z grzeczności trzymał jednak naczynie i

udawał, że co jakiś czas pociąga łyka. W rzeczywistości rozlewał trochę na ziemie.
- Panie Xyriosie? Może dolać panu szampana?
Popatrzył w duł. Mały, śmieszny człowieczek z białymi włosami.
- Nie, nie. Nie trzeba. To cudowne, te wasze ognie na niebie. Chcę patrzeć.
- Mam nie przeszkadzać? Może moglibyśmy omówić...
- Nie, nie! To jutro! – Xyrios miał już dosyć wszelkich ofert i kontraktów. Gdzie oni się tak spieszą? Na omówienie traktatu maja całe pięćset lat!
W centrum cywilizowanej galaktyki każdą sprawę rozpatrywało się przynajmniej dwa tysiące lat. A tutaj? Poprzez swoją grzeczność ustalił trzy ustawy dotyczące nowego handlu w niecałe dziewięć godzin! Strasznie zapracowani są ci ludzie...
Kątem oka zobaczył, że kieruje się ku niemu inny polityk. Na jego twarzy dostrzegł szeroki uśmiech. To nie wróżyło nic dobrego. Obrócił się, udając, że go nie zauważył i postąpił parę kroków przed siebie. Tylko tyle zdołał, zanim zahaczył stopą o jakiś wybój i upadł na ziemię. Przez chwilę całym sobą doświadczał podłoża. Potem zawył i – odtrącając pomocne ręce – zerwał się na równe nogi.
- Co to jest?! – zawołał wskazując na podłoże.
Jeden z ziemian podsunął się do niego.
- Bruk – oświadczył.
- Co?!
- Bruk. Marmurowe płyty i tam dalej – pokazał ku katedrze – kostka.
Xyrios poczuł, że zaczyna wrzeć.
- Marmurowe?! – zawył. – Kamień?! Budujecie z kamienia? Krzemowe budynki?!
Wszyscy nieśmiało pokiwali głowami. Xyrion złapał się za głowę.
- Na całym globie? Krzem? – pytał niepewnie.
- Tak.
- A wy... wy jesteście formami organicznymi...? Z węgla...?
Zebrani ludzie spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.
- No... tak.
Delegat Unii Galaktycznej zawył, a z jego ust zaczęła wypływać lawa. Domy z ciał! Domy z ciał! Mieszkają w domach zrobionych z ciał!
- Barbarzyńcy! – zawołał. – Wybryki natury! Pokraki!
Zaalarmowani hałasem ochroniarze przybiegli i otoczyli ich kołem. Xyrion zaś wcisnął parę klawiszy i przeteleportował się, razem ze swoimi pomocnikami na statek. Krzycząc cały czas ze strachu, obrzydzenia, gniewu i niedowierzania wystartował z planety Ziemia z pełną mocą silników.

***

W niedługi czas potem cywilizacja Ziemska, oraz cała planeta przestała istnieć, zakwalifikowana przez Unie Galaktyczną jako poważny i niebezpieczny wybryk natury i mutację genetyczną.
„Nie można pozwolić” – mówił jeden z przedstawicieli Unii - „by coś tak ohydnego i plugawego istniało na świecie.”
Planeta i cały układ słoneczny przestały istnieć w jednym, potężnym rozbłysku nuklearno-gwiezdnym, zaś o całej sprawie nigdy więcej nie wspominano.
Poza tym jednym, jedynym razem, gdy o planecie ohydy usłyszała cała galaktyka w wieczornym wydaniu wiadomości, w programie NowaGalaktyka TV.

KONIEC

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Cedrik, dodano 09.10.2009 07:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.